

Marya Rodziewiczówna. **Dewajtis**

Powieść współczesna uwieczniona na konkursie "Kuryera Warszawskiego".

Rozliczne interesa przerzucały go z końca w koniec powiatu. Widziano go rzadko w domu, ale wiadano, że skupił olbrzymią partję bydła, że wziął w dzierżawę jeszcze sześć innych młynów i ogarnął cały handel mąką, że kontraktował zboże po okolicznych dworach. Wiedziano, że systemem jego była wspólka, i w każdym z tych interesów brał do pomocy i do połowy jednego lub dwóch towarzyszy. Najczęściej Downar młody był wybrańcem; zastąpił miejsce Łukasza Grala i szedł w ślad Marka posłuszny, sprawny, wierzący ślepo.

Od niego wiedział zaścianek o obrotach Czertwana i dziwił się, a ujrawszy go, kłaniał się nisko. Był im przykładem, chlubą i bodźcem!

Pod jesień rozeszła się wieść, że Marek ma kontraktować konopie. Żydzi chcieli go uprzedzić odsprzedając mu od siebie z zarobkiem, ale trafili na opór wsi i szlacheckich sadyb. Żmujdzini odpowiadali **ne suprantu** na wszelkie propozycje. Czekali Marka.

Zabrawszy z dworów zboże i bydło, zajechał i do chat jego wóz drobniały i zagarnął też sobie ten wielki produkt żmujdzkiej ziemi.

Sypnęły się pieniądze do nicianych sakiewek i szmat ukrytych w głębi kuferków, i znów obliczali próżniacy z zawzięcią, że trud tych targów i umów oplaci się tysiącami, a Downar rozradowany spoglądał na Ejnę i Dubissę i marzył, jak z wiosną popędzi do Niemna i morza ładownych barek długi sznur.

I znowu po paru tygodniach nieobecności zawitał Marek do zagrody.

Pomimo kolosalnych sił, te dwa miesiące bezustannej wędrówki i niewygód odbiły się na nim. Zeczerniał i schudł, oczy wpadły jeszcze głębiej i zaogniły się od czuwania. Usta miał spalone, na czole bruzd kilka więcej, w całej postawie okropne wyczerpanie.

W braku chaty sypiali w stodole, więc mu Ragis ustał wiązkę wonnego siana, ciotka przemocą zadała, choć się nie skarżył, jakiegoś cudownego biedrzeńcu, i układli go do snu, nakazując spocząć i nie pracować choć tydzień.

Już piał pierwszy kurę, gdy zbudził staro szelest siana obok.

— A co ty synku, nie śpisz? — zagadnął.

— Nie ojczu, jakoś sen nie bierze...

— A tobie co? Czy cię co trapi?...

— Co mnie ma trapić?...

Możesz ty niechcący skrzywdzić kogo, a teraz przypomniałeś? Podówczas to człowiek nigdy zasnąć nie może!

— Nie, ojczu, żebym krzywdę przypomniał, tobym się zaraz wrócił i naprawił. Tak mi coś przyszło.

— Może zła myśl, bo i to sen bierze z oczu. Zmów pacierz do cudownej Paniąki z Ugian! Zaraz ci Ona spokój zeszele...

Stary zatrzwożony, a ufny w tę wielką pomoc, począł odmawiać półgłosem:

— Swejka Marja, miłystos piłna, Wiesz-patis su tawinii...

— Pagyrzas tu tarp meteriu, ir pagyrzas wsjesis żiwota tawo, Jezus — wtórował mu gorącym, błagalnym szeptem głos Marka.

Po "Amen", stary pewien dobrego skutku, owinął się burką i zachrapał.

Długo jeszcze cichym szmerem, z akcentem głębokiego smutku i prośby, brzmiało od posłania Marka kilka razy, coraz ciszej:

— Melskis už mus grieszus dabar ir in walando ja smerties musu. Amen.

O świcie Ragis wstał i chciał wyjść nieznacznie, by nie budzić śpiącego, ale posłanie było już puste. Wyjrzał na podwórze.

Na świeżo ociosanej belce Marek siedział zgarbiony i tak, jak go stary nauczył, cmił fajkę, zapatrzonej w kłęb dymu; chłodna rosa błyszczała na jego odzieży.

— Już tutaj? Pocos się zerwał tak rano? — zawołał niezadowolony.

— Nie zwykłem się wylegać! Noc długa!

Oj długa, bardzo długa wydała mu się ta noc bezsenna, ale nie więcej nie dodał i zagadał coś o budowli.

Ten przedmiot pochłonął całą uwagę Ragisa i przerwał uwagi i gderanie.

Gdy cieśle przybyli, Marek wziął też siekiere w ręce, i zmieszał się z nimi w robocie. Nie pomogły prośby ciotki i krzyk kaleki, ciosał tak wytrwale, jakby tem na chleb miał zarabiać — nie odpowiadał nawet starym.

Żył mu nabrzmiewały na rękach i czole, po twarzy biegł pot, ale nie ustawał. Bez surduta schylony nad drzewem, przetrwał do wieczora.

Dnia tego przed niedzielą chłopci pracowali zawzięcie, mało kto się odzywał, o zmroku jeszcze brzmiały siekiery.

Nagle od bramy rozległ się obcy głos:

— Pochwalony Jezus!...

Marek głowę podniósł, topór mu zawisł w powietrzu. Na podwórzu stał Sawgard, ekonom poświcki, konno. Nie dojrzał go wśród robotników, więc nie czekając odpowiedzi na pozdrowienie, zwrócił się do Ragisa.

— Niema tu naszej paniąki, kumie? — spytał żywo.

— Już dwa miesiące, jakem jej nie widział...

— I pana Marka niema?

— Jestem! Co trzeba? — odparł wezwany, rzucając siekiere i podchodząc.

— Nie spotkał pan naszej paniąki dzisiaj?

— Nie! Co się stało?

— Coś złego, panie! Jak sobie wyszła z domu rano, tak dotąd niema!

— Gdzie poszła?

— Nikt nie wie! Łódki nie znaleźli na brzegu, ale może ją fala gdzie poniosła. Rozesłałem konnych po folwarkach, a sam przybiegłem do pana...

Marek obejrzał się na wszystkie strony, jak błędny i oniemiał na chwilę, dygocąc całym ciałem; potem, nie pytając o nic więcej, jak stał wypadł za wrota.

— A coby jej się przytrafić miało? — zawołał Ragis — taka dzielna dziewczyna! Toż tu opryszków niema, każdyby ją na ręku odniósł, a i zbłądzić nie sposób! Jednakowoż i ja pójdę szukać!

— I my z wami! — krzyknęli chłopci z Poświcia — uchowaj Boże czego na naszą paniąkę!

Rzucili się gromadą za Sawgardem; Ragis pokulał na końcu. Odwołała go panna Aneta.

— Da Bóg, wszystko się dobrze skończy, ale nasz chłopak poleciał z tej żalości nieprzytomny. Weźcie mu dobrodzieju, kurtkę i czapkę i pocieszcie trochę. I jabym poszła z wami, ale sił niema! Powiedzcie mu, żeby nie desperował daremnie. Biednyż on, biedny!

— Powiem, powiem, ale czy złapię go z moją kociubą — zamruczał stary — oddalając się tak szybko, jak tylko mógł.

Nikt nie dogonił Marka. Pędziła go silniejsza moc, jak życzliwość służby i chłopów, jak przyjazny żal Ragisa. Dobiegł pierwszy do Poświcia. Dwór cały był poruszony, wylękły; zewsząd wyglądały strapione twarze. Daremnie przeszukano folwarki i drogi, Irenka Orwidówna zginęła bez wieści.

Jak widmo rozpaczy wpadł Marek bez czapki i surduta; nie potrzebował słuchać sprawozdania, nieszczęście i groza patrzyła z oczu wszystkich.

Nie zatrzymał się nawet.

— Światła i za mną! — rozkazał i pobiegł przodem nad rzekę.

Kilkanaście smolnych drzazeg i latarni oświetliło po chwili kawał wybrzeża, gdzie zwykle stała łódka pałacowa. Nie było jej na miejscu.

Marek, świecąc sobie głównią zapaloną, jął szukać śladów. Mieszało się ich tam kilkanaście, snadź ludzi, którzy tu szukali niedawno. Wśród nich dojrzał, cudem chyba, znak drobnej stopy, elegancko obutej; szła w kierunku rzeki.

Zdyszany, drżący, zlany potem, wyprostował się.

— Czólna! — zawołał takim tonem, że kto żyw ruszył się.

Nie upłynęło minuty, pięć łódek podano. Skoczył w pierwszą, zatknął przed sobą żagiew, wziął wiosło, popłynęli.

Noc tymczasem zapadła, i biała, jak mleko, a do kości przejmująca chłodem mgła zawisła nad całą okolicą. O krok nie widać było, oprócz gęstego tumanu, wśród którego, jak skierki, świeciły pochodnie. Nareszcie i one poginęły. Noc przerwała poszukiwania na lądzie. Zresztą przez długi dzień przetrząsnęto całą okolicę, pozostała tylko rzeka, nieublagona, zdradna i wiecznie tajemnicza.

Chłopi rozeszli się, obiecując nazajutrz przyjść z niewodem, szukać zwłok; Ragis i Sawgard zasiedli w oficynie, i stękając gadali o wypadku, otoczeni kilku emerytami. Reszta służby była w czólnach z Markiem.

— A szukaliście na Dewajcie? — pytał kaleka.

— Gdzie nie szukali! — rzucił desperacko stary ekonom. Dąbrowę strzęśli od krzaku do krzaku, wołali, zaglądali do lochów, ani śladu.

— A byli na starem cegielniku?

— Byli...

— A w olszynie, tej grząskiej, za Bubiszkami?

— Był...

— To nie innego, tylko ją woda zgubiła! Oj, bierze ta nasza Dubissa, bierze ofiar co roku! Pamiętacie księżowego synowca, i Butwiłła starego, i żonę Kantrymasa z dzieckiem? Było jej samej nie puszczać!

— Boże, Boże! — lamentował Sawgard, włosy targając — i mniej to przyszło takiego końca doczekać! A takie to było dobre, i wesołe, i rozumne! Takeśmy ją wszyscy pokochali, a ona do nas przywykła, jakbyśmy razem wiek przeżyli! Tak się cieszyli, jak przyjechała, tak witali, tak dogadzali! I ot na co? Na zgubę tej pieszczotce naszej, tej nadziei!

— Szkoda, szkoda — kiwał głową Ragis — taka młodość i zmarnieć! Nie nie pomoże, jak Bóg co sądzi! Murem się od śmierci odgródź, a przelezie, jak trzeba.

— Wyjdźmy, zobaczymy, może pan Czertwan wraca — westchnął Sawgard.

— Ej, nie wróci on, nie wróci, aż sam zmarnieje lub zginie! — zamruczał kaleka smutno.

— Aha — potwierdził ekonom żalostnie — i mnie się zdaje, że oni przyłgnęli do siebie. Patrzałem z radością, jak szli czasem we dwoje i błogosławiłem im w duchu. Ot i nabłogosławiłem! Boże miłosierny, zdejm z nas twoje karanie.

Rękawem kapoty otarł łzy i zamilkł i wszyscy za nim płakali i milczeli, tylko Ragis coś mrucał niezrozumiale.

Nikt o śnie nie myślał. Od czasu do czasu ktoś wyjrzał, dorzucił drew na komin i mrucał, wzdychając. Z rzeki nikt nie przybywał.

Nad ranem usłyszano szybkie kroki na podwórzu. Drzwi się rozwarły, na progu stanął Marek.

Suchej nitki nie było w jego odzieży; włosy rozrzucone, w ręku kawał tlejącej drzazgi i łamek potrzaskanego wiosła.

Siny był od wligoci i chłodu, a pomimo to pot biegł mu wzdłuż policzków, oczy patrzyły dziko, strasznie, bezbrzeżną rozpaczą; poru-